

KONTYNENTY

Opowiadania
podróżne

41
1/2024



ISSN 2084-9915
9 772084 991307 02

ECOFLOW

SERIA RIVER

Energia, która podąża za Tobą

Z EcoFlow możesz cieszyć się pełnią podróżniczego doświadczenia, nie martwiąc się o rozładowane urządzenia elektroniczne – stacje zasilania, takie jak EcoFlow RIVER 2, RIVER 2 MAX czy RIVER 2 Pro, dostarczają energię większości najważniejszych sprzętów takich jak laptopy, smartfony, czy lodówki turystyczne. Dzięki swojej lekkiej i przenośnej konstrukcji stają się niezawodnym źródłem zasilania w terenie, na jachcie, biwaku czy podczas wyprawy kamperem. Otwierają przed nami możliwość zachwywania się krajobrazami, dokumentowania chwil aparatem fotograficznym, czy nawet pracy zdalnej w najbardziej oddalonych miejscach. To nie tylko komfort, to swoboda podróżowania bez ograniczeń.

Ale to nie wszystko! Stacje EcoFlow River nie tylko zapewniają nam niezależność energetyczną w trakcie podróży, ale także kładą nacisk na ekologiczne podejście do produkcji energii. Wprowadzając równowagę pomiędzy komfortem a troską o środowisko, stacje EcoFlow River są nieodłącznym elementem każdej wyprawy. Inspirują nas do dalszego eksplorowania świata w sposób odpowiedzialny i zrównoważony. Dzięki nim możemy kontynuować podróżnicze pasje, nie narażając przy tym naszej planety na dodatkowe obciążenie.



Dowiedz się więcej na: www.EcoFlow.com.pl

Opowieści
podróżne

KONTYNENTY

NR 41



facebook.com/magazynkontynenty/



www.magazynkontynenty.pl



www.instagram.com/magazyn_kontynenty



twitter.com/kontynentymag

Redaktor naczelny:

Dariusz Fedor

Zastępca redaktora naczelnego:

Tomasz Fedor

Dyrektor artystyczny:

Grzegorz Sufa-Chrostowski

Reklamy:

Agnieszka Wojciechowska

Wydawca:

Oficina Wydawnicza Kontynenty
redakcja@magazynkontynenty.pl

Druk:

PRINT GROUP

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością
ul. Księcia Witolda 7-9
71-063 Szczecin

ISSN 9772084991406:03

Copyright © Oficyna Wydawnicza
Kontynenty 2024

Wszystkie prawa zastrzeżone. Redakcja nie
odpowiada za treść zamieszczonych reklam.
Reklamy na str.: 181, 310, II, III i IV okł.

Nakład:

1000 egzemplarzy,
dodatkowo wersja cyfrowa

Obraz na okładce:

Taniec baris, Nyoman Gunarsa,
Indonezja, Bali, ok. 1970 r.

Obraz z kolekcji Muzeum Azji
i Pacyfiku im. Andrzeja Wawrzy-
niaka w Warszawie. Można go oglą-
dać na wystawie stałej *Podróże
na Wschód*.



WYSTAWA

Spis treści

9 SŁOWO WSTĘPNE REDAKTORA NACZELNEGO

- 12 **SŁOWNICZEK SYMBOLI**. ANDRZEJ STRUMIŁO, BUDDYZM MONGOLSKI

DROGA

- 14 **KATARZYNA NIZINKIEWICZ**, GRUZJA. PO PÓŁNOCNEJ STRONIE KAUKAZU

AZJA

- 24 **AGNIESZKA DZIADEK**, JAPONIA. DARY DUCHÓW LASU. PIESZY TRAWERS JAPONII
- 36 **GRZEGORZ KAPLA**, MOLUKI. WYSPY KORZENNE
- 54 **MARIA MAGDALENA KRYCHOWSKA**, INDONEZJA, FLORES. TAM, GDZIE WRACAJĄ DUSZE
- 64 **ROBERT MACIĄG**, HIMALAJE. 82 PROCENT NIEWIEDZY
- 76 **KAROL ADAMSKI**, MANASLU. ANATOMIA WEJŚCIA
- 86 **TOMASZ FEDOR**, SUBIEKTYWNY KALENDARZ ŚWIĄT INDYJSKICH NA 2024 ROK

WYCIEZKI OSOBISTE

- 94 **MICHAŁ KACZMAREK**, W STRONĘ GÓR
- 214 **STASIA BUDZISZ**, ALFABET KASZUBSKI
- 242 **MAREK PERNAL**, POMNIKI Z PAMIĘCI (I Z NIEPAMIĘCI)

OCEANIA

- 106 **EWA WILCZYŃSKA-SAJ**, TAPATI RAPA NUI – PERŁA WYSPY WIELKANOCNEJ

AMERYKA

- 120 **TOMASZ KUNICKI**, TUTAJ JEST HAITI
- 136 **MIROSLAW RAJTER**, PERU. PITUSIRAY I SAHUASIRAY – ŚWIĘTE GÓRY INKASKICH KOCHANKÓW
- 154 **KAMILA KIELAR**, USA. PRZEZ ILE DRÓG MUSI PRZEJŚĆ KAŻDY Z NAS?

AFRYKA

- 166 **MATEUSZ GASIŃSKI (DOBRA FABRYKA)**, TOGO.
KOWALE Z WYAMDÉ
- 172 **ALICJA RYŚ (PAH)**, KENIA. KOBIECY LOS

EUROPA

- 184 **ALICJA BIELAWSKA**, BOŚNIA I HERCEGOWINA/REPUBLIKA
SERBSKA. DOM PODZIELONY
- 198 **KONRAD TOŁŁOCZKO**, MAJORKA. ŚLADAMI CHOPINA
I GEORGE SAND

DOBRA KSIĄŻKA

- 228 **PAUL SCRATON**, MOŻLIWOŚCI WYSP. RUGIA
- 310 **SAKWOJAŻ**

S m u g a

Ziarna zielonej soczewicy z Le Puy-en-Velay są maleńkie, mają ledwie 4-5 mm średnicy. Niebieski pigment – antocyjan, zasługa zasadowego odczynu wulkanicznej gleby, na której rosną – odkłada się w ich grubej skórce. Jądro zaś jest żółte. To połączenie dwóch barw sprawia, że w świetle ziarenka opalizują na zielono. Maleńkie, zielonkawe, suche i naturalnie ciepłe dyski, które lubię przesypywać w dłoniach.

Ugotowane, mają przyjemną konsystencję, są lekkostrawne i zdrowe. W Owernii prastara odmiana anicia uprawiana jest nieprzerwanie od ponad dwóch tysięcy lat. Mówią tu o niej „kawior biedaków”. Sieją w marcu i kwietniu.

Do Le Puy-en-Velay ściągnęła mnie ta cudowna roślina. A i droga poprowadziła łaskawie – zjechałem z autostrady, nie zmieniając specjalnie planu podróży. Czyż mogłem przypuszczać, jak osobliwych doznań i odkryć mi ta krótka wizyta dostarczy...?

Było już po lipcowych zbiorach, torebki z soczewicą leżały na każdym straganie, wypełniały półki w sklepach z warzywami i pamiątkami. Dzień powoli się kończył. Słońce schowane za chmury po odchodzącym deszczu rzucało ostre światło na turnie z lawy – pozostałości pradawnych erupcji – i usadowione na nich niepojętym dla mnie sposobem kościółki. Mogłem z torbą soczewicy wrócić na autostradę. Mogłem znaleźć hotel. Mogłem się wspiąć po 265 wykutych



w skale stopniach na szczyt zwany Aiguilhe do świętego Michała Archanioła. Mogłem wybrać się na drugi koniec doliny, na szczyt Espaly-Saint-Marcel, z którego 22-metrowy Józef z Jezusem na ręku machają do odległej o kilka kilometrów 16-metrowej statuy Maryi. Która ma na ręku drugiego Jezusa. Wybrałem ten właśnie pomnik.

U podnóża góry z Maryją usłyszałem, że bilet wstępu uprawnia też do wejścia do środka. „Środka czego?” – zapytałem, zaskoczony, kasjerkę. „Środka Maryi”.

Jej wnętrze było puste i mroczne. Szybko straciłem orientację, wiedziałem tylko, gdzie góra, gdzie dół, ale czy daleko jeszcze? Czy wysoko? Czy głęboko? Kroki odbijały się metalicznym echem, nasilając niepokój. Na szczęście zmyślny artysta, czy może rzemieślnik, miał praktyczne podejście do swojej roboty – wyciął w ścianie kilka okienek i ubrał je w żeliwne drzwiczki, jak w starych piecach. Uchyliłem jedno z nich, metal zaskrzeczał, smuga światła padła na schody, kurz w niej zawirował – byłem w ramieniu. Drugi raz spojrzałem na miasto z głowy. Powrotnej drogi nie pamiętam.

U stóp Maryi dostrzegłem kilka obłych kształtów. To były armaty. Ostatnie promienie słońca oświetliły odlane na nich emblematy. Rozpoznałem w nich dwugłowe orły dynastii Romanowów. Skąd carskie armaty w sercu Oweronii? Z kaprysu władcy, który kazał je przywleć aż tu spod Sewastopola, gdzie francuskie wojsko zdobyło je w wojnie krymskiej. 200 armat przetopiono na Maryję z Dzieciątkiem, symbol miłości matczynej i synowskiej, jeden z najważniejszych motywów sztuki chrześcijańskiej. Było tej śmiertcionośnej broni aż nadto, parę sztuk legło więc u podnóża osobliwego pomnika. Ku pamięci?

Słońce schowało się za zielonymi górami Owernii, światło zgasło.

W tym numerze wędrujemy szlakiem pamięci i niepamięci: ku znikającym w różnych stronach świata pomnikom, których już nie ma; ku korzennym wyspom, które przechowują dramatyczne dzieje jednej tylko, ale jakże drogocennej przyprawy; ku misteriom odprawianym przez inkaskie cienie; ku sednu radosnych obrzędów Wysp Wielkanocnych; ku kowalom z Togo, którzy metal kują granitową skałą. Rzucamy światło – więcej światła! – na mroczne sploty Serbii–Bośni–Hercegowiny; na rozmywające się pogranicza kaukaskie; na piekło gangów Haiti. Idziemy wybrzeżem Bałtyku; stąpamy po świętych traktach wysp japońskich; stajemy (może po raz ostatni?) na ultradługodystansowych szlakach Ameryki; spełniamy rowerowe marzenie w Ladakhu; wspinamy się na jedną górę, Manaslu – i chodzimy po wielu górach. Poznajemy alfabet kaszubski i kalendarz świąt indyjskich. A w Mongolii uczymy się symboli buddyjskich. Idziesz z nami? Zapraszam!

Dariusz Fedor
redaktor naczelny



Słowniczek symboli. Buddyzm

Przerywnikami graficznymi w tym wydaniu „Kontynentów” są grafiki Andrzeja Strumiłły zainspirowanego buddyzmem mongolskim. Artysta sporządził je techniką tusz czarny na kartonie w drugiej połowie XX wieku. Pochodzą z kolekcji подарowanej przez artystę Muzeum Azji i Pacyfiku im. Andrzeja Wawrzyniaka w Warszawie.

Na rysunku obok – koło o ośmiu szprychach, zwane kołem dharmy (dharma – sanskr. prawo – to w buddyzmie nazwa tej religii). Osiem szprych symbolizuje Ośmiostopniową Ścieżkę, osiem wymagań moralnych koniecznych do spełnienia przez wyznawców.



Po północnej stronie Kaukazu

Katarzyna Nizinkiewicz

Na klonie wisi tabliczka „Tanie”. Nie pasuje do naszej mapy. Skręcamy. Czuję dym. Zwalniam, spodziewając się psów. W zaroślach pokrzyw błyszczący domek cały obity aluminiową folią. Nie zdążę nawet go sfotografować, kiedy wyskakuje do nas rosty facet. Zagradza drogę. Za nim dwa duże psy. - To nie tu - uprzedza pytanie. - Tu nie ma przejścia, wszystko zarosło. - Jak to? - wyciągam mapę. Nie patrzy na nią. - Nie ma, nie da się przejść. - To my tylko spróbujemy trawersem - mówię, bo żal mi schodzić. - Nie da się, trawa po pas, chaszczce. Nie ma przejścia. - Wracamy - szturcha mnie José. - To przemytnik. Czujesz perfumy? Widzisz, jakie ma wypielęgnowane paznokcie? Nie ma pola, nie widać owiec czy krów. I ten ton, pewnie emerytowany wojskowy

SCHODZIMY. NAD RZEKĄ STOI DOMEK. IDZIEMY W GÓRĘ DO KOLEJNEJ CHATKI, DREWNIANEJ I NOWEJ. Z BLISKA – MALUTKIEJ JAK OGRODOWA ALTANKA. MĘŻCZYZNA JEST BARDZO STARY. Gestykułuje, krzyczy – jakby ostrzegając – i zrezygnowany, że nie rozumiemy, odchodzi. Ze dwa kilometry dalej ścieżka znika. Urwisko, w dole spieniona rzeka. Zaczyna padać. Została godzina do zmroku. Zawracamy. Próbuje-
my rozbić namiot koło staruszka, ale niewiele tam płaskiego. Znajdujemy tylko kościółek. Gdybym nie czytała tyle razy, że nie wolno do niego podejść kobiecie, może byśmy w nim zostali na noc. W przybudówce jest miejsce, beton pośród kadzi z bimbrem. Czy to dlatego trzyma się z daleka kobiety? Ich obecność chwiewie równowagą świata. Zakłóca odwieczny porządek. Ciekawe, czy wiedzą, ile tych kadzi.

Gnamy. Chmury ciemnieją, ścieżki miękną. Grzęźniemy w błocie i nigdzie nie ma miejsca na namiot. Przez firanki deszczu z przeciwległego zbocza macha do nas przygarbiona staruszka. Biegniemy. Wchodząc, schylamy głowy, drzwi są niskie. Wnuczka Szerena jest żoną pogranicznika. Mówi, że żołnierze zmieniają się na posterunkach co miesiąc. Latem jadą samochodami, zimą zostaje helikopter. Doliny opadają do Rosji. Od Gruzji odcina nas główna kaukaska grań, ponad trzytysięczna. Ktoś z rodziny przejeżdża ją co tydzień. Tylko babcia mieszka tu całe lato, doi krowy. W listopadzie zwierzęta ruszą w dół i za sześć dni dotrą do Tianeti. We wsi zostanie jeden człowiek – staruszek w chatce przy kapliczce. Najbliższy sąsiad będzie zimował w Blo. – Tam to jest dopiero strasznie! Wilki i niedźwiedź. U nas bezpiecznie, spokojnie. Tylko nie da się tu dostać, jak jest śnieg.



Na stole nakrytym ceratką w kwiaty leżą twarde, pachnące jabłka przywiezione z domu. Czerwona latarka nie sięga ścian. Wydobywa z mroku garnki nad piecem, zwoje brzozonej kory na rozpałkę. Profil babci wpatrzonyj w przygasający płomień.

Nocą grzmi i znów się zmienia pogoda. Jest chłodno, słonecznie, na szczytach leży odrobina śniegu. Szerena opisuje drogę. Wczoraj niepotrzebnie zawróciliśmy. Ścieżka nie kończy się w ruinach. Zbiega w kanion i wzdłuż rzeki wspina na przełęczkę. To niedaleko. W słonecznym świetle ruiny wyglądają inaczej. Trawska, pokrzywy, jeżyny i korytarze wydeptane w zielsku przez zwierzęta. Niektóre okazują się ślepe, inne zbiegają się i opadają do potoku. Tam znów gąszcz. Gałęzie, krzewy błoto, nawet bagienko, skały, spróchniałe pnie. Duszno i ciemno. Potem skręt w dopływ, na lewo. Dolinka wąska i stroma. Zasypana zbutwiałym drewnem. Zarośnięta oślizła i grząska. – Popatrz, w tych krzakach coś jest! – Nie widzę. – Rusza się! – To może podejść i zobacz? – Ty podejść... to niedźwiedź? – Krowa! A jednak nie! Uciekaj! Złaż z drogi! – Śmiejemy się z tego jeszcze przez dłuższy czas. Byczek nie miał kolczyka, być może uciekł już dawno temu, a właściciel pewnie posądza niedźwiedzia.

Ciężko nam idzie. Podejście, chaszczce i upał. Wdrapujemy się na polankę, wbijamy w las. Z grani widać czerwone lasy, łąny złotych traw i lodowiec za kolejną grańką. W dole Bło. Jesteśmy ciekawi człowieka, co zostaje tu zimą sam z wilkami (niedźwiedź, jak sądzimy, to nie problem, bo śpi). Zejście jest strome, ścieżki rozbiegają się i schodzą, w lesie gubimy je wszystkie i brniemy przez badyle.

Sięgają nam ponad głowy, czepiają się nas kolcami, obsypują nasionami, owijają nadgniłymi łądogami, smarują rozmokłymi liśćmi. Mam wrażenie, że zwariuję, jeśli natychmiast się nie otrząsnę. Te wszystkie owady, pająki... Obrzydzenie dodaje mi sił, pędzę. Kolejny gąszcz to młody las, na grzędzie, która musiała być kiedyś cmentarzem. Groby z różnych wieków powykrzywiały się i przewracały w uścisku klonowych korzeni. Wieś w rozsypce. Kilka metrów niżej stoi namiot – plandeka na szkielecie z patyków. Zboczem odjeżdża człowiek na koniu. Myślę, że przegapiliśmy pasterza z Blo, ale pojawia się. W towarzystwie myśliwskiego psa prowadzi zbłąkaną owieczkę. Na nasz widok zwalnia, patrzy z urazą. Jakbyśmy wleźli bez pytania do jego domu. Jest młody, zezowaty. Zajęty. Na górce stoją stogi siana – znak, że naprawdę tu zimuje. Wieczorem mijamy kolejną ruinę, zarośla pokrzyw, za nimi samotny szałas – kopię konstrukcji, którą podziwialiśmy wcześniej, pokrytą błękitną plandeką. Lekko mży, ale nie chcemy zostać. To świat odludka z Blo. Jego porozkładane rzeczy, nacinki na brzoźkach, z których pobiera korę do rozpałki, pułapka na wodę w źródle. Niesamowite mieć dla siebie taką dolinę. Piękną, chociaż pewnie trudną do życia. Do nocy wychodzimy na jej graniczny grzbiet, skąd już widać drogę do Roszki. Widać przez moment, bo zmierzch, deszcz i mgła. Nie znajdujemy źródła. Namiot staje w kaukaskich chaszczach. Na ostach, przegorzanach, szczawiu kędzierzawym, w gęstwinie zielnej zgnilizny, która chociaż ubita, udeptana przez całą noc wbija nam się w plecy i drażni. Kiedy rozsuwam rano zamek tropiku nadal oblepia nas wilgotne mleko. Wyglądam,

ziewam i nagle w niebie pojawia się szczelina. Przed nami piętrzy się lodowiec Chaukhi. Chmury odsłaniają go po kawałku, wschodzi słońce, światło – jak reflektor wychyla się z kolejnych dziur, eksponując coraz to nowe miejsca. Siedzimy, patrzymy. Mamy mało wody, więc śniadanie nie jest wystawne. Ruszamy w dół przez mokre trawy do rzeki i zakola gruntówki. Podjeżdża samochód. – Czy w Roszce jest jakiś sklep? – pytam. – Nie, tylko gospoda. – Potrzebujecie jedzenia? Bierzcie! – Zanim zaprzeczę, w rękach zaskoczonego José ląduje puszka z rybą i chleb. Chcę zapłacić, ale żołnierze tylko się śmieją.

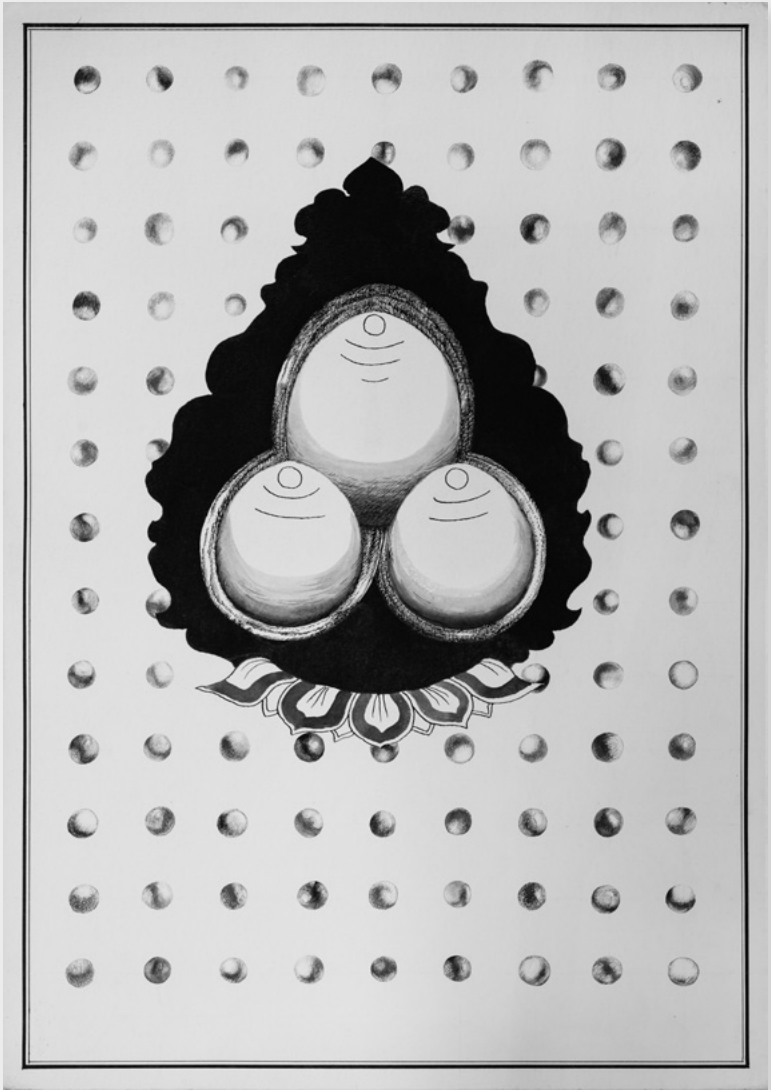
Początkowo idziemy w górę doliny bez ścieżki, wyżej pojawia się szlak. Pety, papierki, chusteczki, niektóre jeszcze pachną perfumami. Zbieramy, zakopujemy. Przystajemy je liczyć po setce. To popularne miejsce. Drugą stroną strumienia schodzi wycieczka. Za skrzyżowaniem spotykamy Holendrów z przewodnikiem. Biwakujemy w wyznaczonym miejscu, przy stawkach. Przez chwilę jesteśmy sami, ale z mgły, która zdążyła znów pokryć zbocze, wynurzają się schodzący turyści. Nie witając się, rozbijają namioty na przeciwległym zboczu. Dwójka, która przyszła na końcu, snuje się tam przez jakiś czas, szuka wody. Wyglądają jak syn z ojcem. Starszy jest jeszcze bardziej bezradny. Zbyt długo zastanawiam się, czy nie podejść, odchodzą, zanim się ruszę. Mają malutkie plecaki, prawie nic, a idzie noc, pewnie też mróz. „Może trzeba im było pomóc, poradzić, żeby doszli do drogi” – gryzie mnie. Ich towarzysze siedzą przy namiotach. – 500 metrów podejścia – wow! Dwa dni! Wow! – słowa giną, zlewają się. I nie cichną, kiedy zapada zmierzch. Wraz

z tytoniowym dymem płynie do nas strumień podniesionych głosów: „wow wow... wow wow... wow wow wow...!”. Angielski zmieszany z niemieckim. Łał.

Ranek jest bezchmurny, na namiocie narósł gruby szron. Nie spieszymy się. Nasi sąsiedzi są jeszcze wolniejsi. Zdażymy odejść na drugą stronę doliny, zanim przy ich namiotach pojawi się jakiś ruch. Ostatni raz widzimy je po południu, chyba zostały tam na cały dzień. Spotykamy za to dwóch Gruzinów, podeszli z dołu, więc pytam o wczorajszych spóźnialskich. Zadzwonili i ktoś po nich podszedł, niepotrzebnie się martwiłam. Gruzini są bez plecaków, szybsi niż my. I idą inaczej niż wczorajsi turyści, a my za nimi. Migają nam kilkukrotnie, zanim znów nadciągną mgły. Jest ciężko, coraz bardziej stromo (upiornie), idziemy po osypiskach, piarżyskach, uskokach. W chmurze trudno się połapać, którądy lepiej. Na górze robi się jaśniej. I wreszcie pojawiają się strzępy widoku. Przez chwilę snujemy się tu i tam, bo wszędzie pięknie, szukamy ścieżki. Już spokojni siadamy i patrzymy na Kaukaz. Od Osetii po Kazbek, na wprost grań, którą planuję przekroczyć (choć nie mamy pojęcia jak) i dolina. Szosa niewidoczna, turnie strzeliste jak Dolomity. Słońce, złoto wyschniętych traw, chmury pozawieszane na graniach, targane wiatrem jak świeże pranie, pelerynki, narzutki, szale białe aż rażą. Schodzimy wolniutko, zbyt poruszeni pięknem, żeby się śpieszyć. Czym niżej, tym więcej turystów. Więcej śmieci. Namioty, jaskrawe ubrania. Zbyt głośne, zbyt krzykliwe wymiany zdań, nawoływania. Dymią skręty. Ludzie nie odpowiadają na pozdrowienia, nawet nie patrzą. Nie zależy nam, ale jednak

czujemy się nieswojo. Dla miejscowych nie byliśmy nigdy obojętni, a tu tak. Nie rozumiemy, dlaczego. Niżej pusto. *Biesiedka* (zadaszony stolik piknikowy) otoczona owczymi bobkami, lekko chwiejna. Otulona fragmentami plastikowych płacht. Za nami słońce oświetla czerwono ściany Chaukhi. Juta ginie w głębokim cieniu, w czarnej dolinie. Niebo błękitnieje, wschodzą gwiazdy. Zostajemy. To nasze miejsce. Tak się tu właśnie czujemy. U siebie. Choć tylko przez noc, przez chwilę. Tylko teraz.





Symbol zwany trzema klejnotami, które
oznaczają Buddę, sanghę (wspólnotę mni-
chów) i dharmę (buddyzm).



Dary duchów lasu. Pieszy trawers Japonii

Agnieszka Dziadek

Słońce właśnie minęło zenit. Jest bardzo ciepło, a w powietrzu rozchodzi się brzęczenie owadów. Między gałęziami subtropikalnych krzewów, skartłowaciałych pod naporem nieustannych wichrów, z głośnym szelestem przeciska się małpa. W dole, poniżej urwiska na przybrzeżnych skałach roztrzaskują się fale. W zatoczce woda jest turkusowa i spokojniejsza. Przylądek Sata (Sata-misaki) to miejsce, w którym po raz pierwszy wybrzeże Kiusiu muska Kuro Siwo – silny i ciepły prąd Oceanu Spokojnego. Przybywa z Filipin, przepłynął obok Tajwanu i wysp Riukiu i ciągnie dalej wschodnim wybrzeżem Japonii, tak jak i ja mam zamiar pociągnąć

POTRZEBOWAŁAM CZTERNASTU ŚRODKÓW LOKOMOCJI, ŻEBY SIĘ TUTAJ DOSTAĆ Z DOMU W CIESZYNIE I TERAZ, KIEDY SIĘ TO UDAŁO, MOGĘ ODETCNAĆ Z ULGĄ. JUŻ WIEM, CO MAM DALEJ ROBIĆ: IŚĆ. PIESZY TRAWERS JAPONII MA POTRWAĆ KILKA MIESIĘCY. UŚMIECHAM SIĘ DO TEJ NIEZNANEJ KRAINY I POZDRAWIAM MAŁPKĘ, BO CHCĘ DAĆ ZNAĆ BYTUJĄCYM TU ISTOTOM O SWOICH DOBRYCH ZAMIARACH. Oddalając się od morza, zagłębiam się od razu w góry. Nic tu nie jest takie, jak w medialnym przekazie o industrialnym kraju pełnym betonowych wieżowców, w których – w ciasnych klitkach – żyją umundurowani w garnitury ludzie. Kiusiu to najdziksza z czterech głównych japońskich wysp, określanych przez mieszkańców wspólnym mianem stałego ładu. Nie przyjdzie mi tutaj w ogóle zobaczyć niczego z betonu. Zamiast tego będę wchodzić w relacje z duchami, kłaniać się bóstwom i wszystkim tym, którzy z zaciekawieniem i pewnego rodzaju czią będą pytać, dokąd zmierzam.

Pierwszą noc spędzam w starej kaplicy szintoistycznej. Po podłodze chodzą mrówki, a wokół biega brązowe zwierzątka o gęstej sierści i głośno skrzeczy. Ktoś mógłby pomyśleć, że to nieodpowiednie miejsce na nocleg, ale w Japonii zawsze się tak robiło – pielgrzymi, wędrowni mnisi i poeci, poszukiwacze przygód i oświecenia szukali schronienia pod dachami świątyni i przydrożnych kapliczek. Są one miejscami pobytu rozmaitych bóstw i Japończycy licznie je odwiedzają, żeby prosić o łaski – zdrowie, szczęście, zdane egzaminy, dobrą pracę. Szintoizm to rdzenna religia Japończyków, mająca bardzo pierwotny charakter. Nie mam wątpliwości, że nasi europejscy przodkowie dokładnie tak samo wierzyli w istoty władające rzekami, mieszkające w prastarych drzewach i mające wpływ na ludzką dolę



i niedolę. Bardzo podoba mi się, że tutaj się to zachowało i to nie tylko w wiecznie zielonym górskim lesie, ale i wśród mieszkańców miast. Japończycy zapytani o to, czy są religijni, odpowiadają, że nie, bo nie rozpatrują swojej wiary w ten sposób. Modlitwy i składanie ofiar są dla nich czynnościami naturalnymi, tak jak przygotowywanie posiłku czy robienie prania.

Bóstwo rezydujące w małej dolinie chyba mi sprzyja, bo odsypiam całą trzydniową podróż. Zmierzam teraz w kierunku centrum wyspy, usianej wulkanami. Jest kwiecień i w wyżej położonych miejscach wiosna dopiero się zaczęła. Trawy są jeszcze pożółkłe, ale już kwitną dzikie kamelie. Kwiaty opadają na ziemię, ścieląc przede mną czerwony dywan. W kolejnym paśmie, położonym bardziej na północ, w mniej tropikalnej okolicy, królują azalie o różowo-fioletowych kwiatach i bledsze, lecz pełniejsze kiście rododendronów. Staram się odnaleźć piesze szlaki i ścieżki widoczne na mapie, ale nie zawsze jest to możliwe. Często błędzę, wiele czasu schodzi mi na poszukiwaniach. Pomiędzy poszczególnymi pasmami idę pustymi górskimi drogami, które zdają się być poprowadzone jedynie dla porządku, bo nie łączą żadnych miejscowości. Niektóre z tych dróg bywają zamknięte, zapomniane, zawałone ziemią, która się osunęła. Co roku przychodzą latem tajfuny, wylewające z siebie metry sześciennie deszczu, który wszystko rozmywa. Pędząca woda niesie ogromne głazy i pnie drzew, drogi spływają do rzek. Nie rozumiem pisma, więc nie wiem, co oznaczają zakazy. Jakoś udaje mi się obejść nawet najgorsze osuwiska. Muszę się trzymać gałęzi i zsuwać po stromych zboczach. Kiedy wreszcie trafiam do wioski, ludzie myślą, że jestem przybyszem nie z tego świata. Zapraszają na zieloną herbatę, śmieją się z tego, co wybieram w wiejskim sklepiku

i udzielają błogosławieństwa na dalszą drogę. Spotkam jeszcze wielu takich ludzi. Japończycy okazują się bardzo otwarci i ciekawi świata. Przeważnie są to starsi ludzie. Młodszy wyjechali do dużych miast. Tak opowiadają mi rolnik i jego matka, którzy zapraszają mnie do swojego domu w pewną deszczową noc. Mają kilka pól ryżowych i stary drewniany dom z tradycyjnym zadaszonym tarasem, gdzie można suszyć mokre rzeczy. Dziś tych mokrych rzeczy jest sporo – rozwieszam wszystkie przemoczone ubrania. Siedzimy na podłodze wokół niskiego stolika, na którym pojawiają się tajemnicze potrawy w miseczkach. Są zielone marynaty i przysmażane kuleczki, które biorę za kiełbaski, ale gospodarz ze śmiechem uświadamia mi, że pochodzą z podbrzusza dorsza. Śpię w jadalni, babka obok w swoim pokoju, w którym jest też domowa kapliczka. Stoją przed nią zapalone lampiony. W wielu domach jest po kilka kapliczek, dla bóstw, a także dla zmarłych przodków, których dusze karmi się ryżem i owocami.

Żał mi, kiedy kończy się Kiusiu. Przeprowiam się promem na Sikoku, do zupełnie innego świata. Dominuje tu buddyzm, zwłaszcza na trasie, którą się poruszam, czyli pielgrzymkowym Szlaku 88 Świątyń. Prekursorem pielgrzymki był żyjący na przełomie VIII i IX w. mnich Kūkai, święty mędrzec, który po długich studiach w Chinach założył ezoteryczną szkołę buddyzmu shingon. Tradycyjnie pielgrzymkę odbywa się pieszo, zbierając potwierdzenia odwiedzin wszystkich 88 świątyń, związanych z Kūkaikiem. Wędrówka jest porównywana do symbolicznej ścieżki do oświecenia, gdzie świątynie 1–23 reprezentują ideę przebudzenia (発心, hosshin), 24–39 wyrzeczenia i dyscypliny (修行, shugyō), 40–65 osiągnięcia oświecenia (菩提, bodai) zaś 66–88 pozwalają wkroczyć w nirwanę (涅槃,

nehan). Wygląda na to, że jestem już na dobrej drodze do oświecenia, ale nirwany nigdy nie osiągnę, gdyż wędrówkę szlakiem rozpoczynam od środka i podążam w niewłaściwym kierunku – od 43 do 1. Świątynie są bardzo ozdobne, z krokwi wychylają się rzeźbione smoki, ołtarze dekorowane są złotymi kwiatami lotosu i lampionami. Pachnie dym kadzidełek, który jest szczególnie rozkoszny, gdy pada deszcz. Wiele świątyń ma ozdobne japońskie ogrody. Lubię w nich odpoczywać. Nie jestem prawdziwym pielgrzymem, więc dziwnie się czuję pośród tłumów bardzo skupionych i zaangażowanych postaci, odzianych w płócienne kaftany z magicznymi napisami. Mają szereg akcesoriów: kapelusze ze znakami w sanskrycie, jedwabne opaski, torby, notesy i kije z dzwoneczkami. Większość mnie ignoruje, czasem zamieniam kilka słów z zagranicznymi pielgrzymami, których też tutaj nie brakuje. Jest szczyt sezonu pielgrzymkowego i dziennie mijam nawet sto osób idących z przeciwnego kierunku. Hiro, którego spotykam nocującego pod wiatą, podziwia mój pomysł i mówi, że to ja jestem prawdziwym pielgrzymem, jestem jak Kūkai zmierzający do prawdziwego celu.

Przez Honsiu wędruję w mniej uduchowionej atmosferze. Staram się omijać wszelką cywilizację i wybierać szlaki w parkach narodowych, choć robię wyjątek dla słynącego z zabytków Kioto. Świątynie i pałace są piękne, lecz oblegane przez tłumy turystów. Kieruję się dalej na Nakasendō, starożytny szlak funkcjonujący w wiekach XVI–XIX jako główna droga łącząca Kioto i Edo, dawną i obecną stolicę Japonii. Wiele fragmentów oryginalnego szlaku wraz z kamiennym brukiem ocalało, podobnie jak wiele stacji dla podróżnych zbudowanych tradycyjnie z drewna, z fikuśnymi przepierzeniami, tarasami i przesuwanymi drzwiami. Nadchodzi pora deszczowa, którą

spędzam, człapiąc pod parasolem. Z południowego wschodu nadciągają tajfuny, będą przechodzić przez całe lato. Jest już czerwiec, ale wysoko w Alpach Japońskich wciąż leży śnieg. Kusi mnie, żeby zejść z Nakasendō i wejść gdzieś wyżej. Wybieram pasmo o przebiegu południkowym i tam się kieruję. Ścieżka nie jest szeroka, ale wyraźna. Spotykam na niej mężczyznę, którego pytam o wodę. Objasnia mi, gdzie na grzbiecie znajduje się źródło, ale nic nie wie o reszcie szlaku, zaraz wraca do auta. Brak map, a co za tym idzie brak informacji o źródłach, to mój największy problem podczas eksploracji japońskich gór. Próżno szukać informacji w internecie, w punktach informacji turystycznej zdawali się w ogóle nie rozumieć, o co pytam, po jakimś czasie przestałam w ogóle pytać. Teraz mam po prostu nadzieję, że jakoś to będzie. Ścieżka pnie się w nieskończoność, a kiedy wreszcie docieram na grzbiet, odległe kulminacje nikną w gęstniejących obłokach. Zmrok zapada w karłowatym iglastym lesie. Ten las jest tak różny od ciepłych lasów na Kiusiu! Przywodzi na myśl surowe wschodnie wybrzeża kontynentu azjatyckiego. Wiem, że jestem tu zupełnie sama, jedyny napotkany człowiek już pewnie odjechał. Wypatruję chaty, która jest w mojej nawigacji. Wyłania się z gąszczy trawy bambusowej. Drzwi przegniły, przesuwne zawiasy zardzewiały. Trudno się dostać do środka. Już zaczęłam rozważać wczolganie się do środka przez okno, kiedy ustępują. Za kolejnymi, tym razem otwartymi, drzwiami znajduję przytulny pokój. Nie ma piecyka, ale okna są szczelne, drzwi można przymknąć. Podłoga zmurszała ze starości i już nie jest równa, ale to nieważne. Rzucam plecak i pędzę szukać źródła. Z przełęczki prowadzi niska ścieżynka małym wąwozem. Musi tam być jakaś woda. Robi się błotniście. Zsuwam się po korzeniach i słyszę szum

płynącego strumyka. Napełniam butelki i wracam do mojej pustelni. Noc zapada, wczesna i ciemna. Chmury spowijają niebo, tak że zlewa się ono z szeleszczącą trawą bambusową. Nazajutrz wspinam się na Anpeiji, pierwszy szczyt grzbietu na północ od chaty. Tam szlak nagle znika. Nie mogę znaleźć śladu ścieżki, po prostu się urwała. Walcząc z wysokimi do ramion pędami, penetruję zbocze, ale nic nie znajduję. Muszę wrócić. Podejście jest trudne. Przejscie 100 metrów zajmuje mi pół godziny. Nie ma szans na wędrowkę tędy bez szlaku, nawet gdybym miała maczetę.

Każdy szlak wygląda inaczej, jest w innym stanie, nigdy nie wiem, czego się spodziewać. Niekiedy trafiam na szeroką i łatwą ścieżkę, innym razem muszę piąć się po linach. Jednak to nie problemy terenowe okazują się największą trudnością na górskich szlakach Japonii. Najgorsze, co można na nich spotkać, to pijawki drzewne, zwane *yamabiru*. Nigdy wcześniej o nich nie słyszałam, więc nawet nie podejrzewam, że w lesie może kryć się coś jeszcze poza bóstwami i zwierzyną płową. Krew, lejącą się po nogach z ran po ukąszeniach, odkrywam podczas lunchu. Nie poddaję się panice. Siadam na ziemi pod zadaszeniem, uspokajam tętno i wycieram krew. Ta jednak ciągle się leje. Wrzucam zapytanie na Instagramie, może po zdjęciu ktoś pozna, co mnie ugryzło? Nie mając diagnozy, trudno coś przedsięwziąć. Odpowiedź mam już po chwili. Pijawki. Idę do niedalekiej świątyni, w tym czasie skarpetki nasiakają krwią. Zaklejam rany plastrami, krew ma przestać się sączyć w ciągu kilku godzin. Ale jeszcze muszę zejść w dolinę. Pijawek nie da się odstrząsnąć ani oblaskawić. Łapię ich tego dnia 40. Ostatnie zdejmuję z siebie w Tokio – tego wieczoru jadę pociągiem do stolicy. Mam zatrzymać się u polsko-japońskiej rodziny, a przy okazji złożyć

podanie o przedłużenie pobytu w Japonii. Polakom przysługuje tylko 90 dni, a to nie wystarczy do przejścia 4000 kilometrów. Niestety, dostaję odpowiedź odmowną. Muszę opuścić Japonię za miesiąc, jednak wystarczy, że zrobię to na krótko. Wracam więc na szlak z biletem na Tajwan, który później objadę dookoła pociągami i autostopem. Póki co, jeszcze z plastrami zasłaniającymi rany po ugryzieniach, zagłębiam się znowu w góry. Przemierzam masyw góry Hotaka (*Hotaka-gate*), Park Narodowy Oze i Bandai-Asahi. To wspaniałe, wręcz ikoniczne góry, a najlepsze jest w nich to, że zupełnie nie widać tu śladów cywilizacji. Miasta japońskie leżą w płaskich kotlinach, tam się koncentrują, tam obiegają je autostrady. Góry pozostają dziewicze i nieskażone. Rolnictwo również skupia się w dolinach, dlatego wyżej nie ma żadnych zanieczyszczeń. Na torfowiskach rechoczą zadowolone żaby. Ludzie od wieków żyjący w rytmie natury niekiedy zapuszczają się do lasów, najpewniej odprawiając wcześniej jakieś stosowne rytuały. Zbierają grzyby i liście łopianu, łowią ryby w rzekach. Kończąc forsowne przejście masywu Nanatsugatake, spotykam grupę starszych ludzi, którzy coś sprzedają. Mówią, że to *nobuki*, ale co to może być to *nobuki*? Wydaje mi się, że pędy paproci. Ludzie ci pytają, czy widuję duchy i niedźwiedzie. Jest dla nich oczywiste, że jedno i drugie istnieją, a takie osoby jak ja, które włączają się w nie do końca zrozumiałym celu, z pewnością z nimi obcuje. Mówię, że się nie obawiam i chętnie wychyłam filiżankę świeżej zielonej herbaty, pachnącej zupełnie jak pędy paproci.

Docieram do wschodniego wybrzeża. Prawie do końca Honsiu podążam szlakiem Michinoku Coastal Trail. Nie trzymam się go ściśle, bo za bardzo krąży i zbyt wiele jest na nim asfaltu. Wybieram lepsze i ciekawsze fragmenty, szczególnie

ścieżki nad klifami i tunele pomiędzy dzikimi plażami. Wybrzeże regionu Tōhoku zostało zniszczone przez tsunami w 2011 roku, ale wszystko, co jest położone wyżej, ocalało. Morskie jaskinie i poszarpane skały, nad którymi zwieszają się gałęzie prastarych sosen, są imponujące. Lubię biwakować wysoko nad oceanem. Wieczorem błyskają światła malutkich portów, kutry wyruszają w morze przed świtem. O brzasku budzą się cykady. Te mam ochotę zamordować, kiedy mnie budzą o 3.45 rano. W Japonii nie ma letniego czasu i dzień zaczyna się bardzo wcześnie. Wieczór nadchodzi szybko, słońce znika za horyzontem i zaraz jest noc.

Podróż na Tajwan to wielka wyprawa. Odbywam ją w przeddzień wygaśnięcia wizy. Z malutkiej stacyjki Taro wyruszam do Tokio i wsiadam do samolotu. Po 11 dniach jestem z powrotem. Na stacji jest księga gości, do której wpisuję się na pamiątkę. Udało się, mam drugą wizę!

Pozostaje mi już tylko skończyć Honsiu i przejść Hokkaido. Właśnie wtedy nadchodzą upały. Codziennie jest 32–37°C. Robią mi się odparzenia pod plecakiem i pod ubraniem, bielizna obciera. Cały czas posypuję się pudrem dla niemowląt, to jedno pomaga. Przeważnie raz dziennie jestem w sklepie, gdzie raczę się lodami o smaku zielonej herbaty i zimnym makaronem. W Japonii jada się dużo zimnych makaronów. Sądziłam wcześniej, że to coś obrzydliwego, teraz jednak rozkoszuję się chłodnym spaghetti z owocami morza, których nie umiem zidentyfikować, posypanych pomarańczową ikłą. Noszę ze sobą grejpfruty rodzimej uprawy. Wspominam, jak wiosną pachniały ich kwiaty w sadach na Sikoku. Woń była odurzająca, szalenie intensywna. Owoce pachną cierpko, ale są słodkie i soczyste. Odzyskuję dzięki nim wypocone elektrolity.

Na Hokkaido nie robi się chłodniej. Wyspa rozkłada się jak rozgwiazda, wyciągając odnóża. Największe półwyspy sięgają Honsiu, Kuryli i Sachalinu. Nie wszystko idzie zgodnie z planem. Idę drogami więcej niż bym chciała, bo ciągle natykam się na zamknięte szlaki. Wulkan Komagatake niedawno wybuchł, szlaki Parku Narodowego Shikotsu-Tōya nie mają ciągłości, a do szlaku na górę Yūbari (*Yūbari-dake*) nie da się w ogóle dojść, bo most na zaporze został rozebrany. Ostatnia szansa na wiele dni w dziczy to Park Narodowy Daisetsu-zan. Pakuję prowiant na siedem dni (tak, są też grejpfruty) i wodę na dwa. Niestety, źródła już wyschły po tym, jak ostatnie płaty śniegu stopniały na szczytach wulkanów. Plecak jest bardzo ciężki, nie mogę go, ot tak, zarzucić na plecy, muszę opierać go o skałę jak bohaterka znanego filmu „Wild”, którą przygniata 30-kilogramowy wór. Pierwszego dnia udaje mi się dowlec na grań, aż tęczową od wulkanicznych osadów. W kraterze nic nie rośnie, dym i opary unoszą się w niebo. Dalej rośnie kosodrzewina i fioletowe dzwonki. Nocuję w chacie z kilkoma osobami, które zwijają się bardzo wcześnie rano. Wkrótce okazuje się, dlaczego – uciekli przed huraganem. Podczas kiedy prognoza pogody ostrzegła przed tajfunem, prawdziwym niebezpieczeństwem okazuje się huragan, który nadciąga za nim. Grań jest bardzo wąska, poryw wiatru może strącić wędrowca na dno krateru. Zapieram się kijkami, ale nie dają rady. Udaje mi się osiągnąć skrzyżowanie szlaków, gdzie podejmuję szybką decyzję o zejściu. Dwa dni siedzę w ratunkowym schronie, ale nie ma tam wody. Próbuje łapać deszczówkę kapiącą z dziurawego sufitu. Kiedy wiatr się uspokaja, muszę zejść. Zaliczam już tylko końcówkę grani, górę Asahi (*Asahi-dake*), wykorzystując kolejne okno pogodowe.

Za ostatnimi górami schodzę nad morze. Tym razem nie jest to ocean, a Morze Ochockie. Jego wybrzeże ma zupełnie inny charakter niż pozostałe wybrzeża Japonii. Jest przede wszystkim bardzo puste. Z rzadka pojawiają się wioski, jest w nich niewiele domów. Wszystkie są szare albo beżowe, pokryte syntetycznym sidingiem. Są i piaszczyste plaże, i niskie klify, i wysokie skały. Wiatr wzmaga się. Reszta Japonii jest prawie zawsze bezwietrzna, jedynie po tajfunach występuje silny wiatr. Tutaj wieje stale. Szczególnie na samej północy, na przylądku Sōya (*Sōya Misaki*), gdzie kończę wędrówkę 30 sierpnia po 137 dniach w drodze. Czuję nie tyle niedosyt, co dalsze pragnienie. Mogłabym odwrócić się i pójść z powrotem na południe, do kraterów, nadmorskich skał i kwitnących azalii. Szkoda, że nie mogę przepłynąć się promem na następną wyspę, należący już do Rosji Sachalin. Nie wspominając już o Kuryłach...



Agnieszka „Zebra” Dziadek

Z wykształcenia geograf, z zamiłowania podróżniczka i blogerka.

Wędruje samotnie na długich dystansach.

Sakwojaj

Buty Bennon Bosky Barefoot

Lekkie, sportowe. Imitują chodzenie boso, zapewniają wysoki komfort i prawidłową aktywację mięśni dzięki dopasowanej do kształtu stopy cholewce i elastycznej podeszwie. Cholewka wykonana jest z materiału tekstylnego w technologii 3D Knit, z obustronnym wzmocnieniem z termoplastycznego poliuretanu oraz elastycznym ściągaczem pod kostką. Wnętrze buta wyposażone jest w cienką wkładkę z pianki EVA, ze wzmocnieniem w okolicy pięty, zapewniającą odpowiednią przestrzeń dla palców. Dodatkowo na pięcie umieszczono tekstylny pasek ułatwiający zakładanie buta. Miękka, gumowa podeszwa pokryta bieżnikiem odzwierciedla szczególnie anatomiczne stopy, sznurowadła ze ściągaczem umożliwiają lepsze dopasowanie, a dostępność różnych kolorów sprawia, że trafią w każdy gust.

Cena: 189,99 zł

Spodnie Pentagon BDU 2.0

BDU, czyli Battle Dress Uniform – te spodnie wykonano z mocnego materiału Rip-Stop, odpornego na przetarcia, są dodatkowo impregnowane, by zwiększyć odporność na zabrudzenia. Staranny projekt i wykonanie gwarantują wytrzymałość w różnych warunkach, a siedem kieszeni daje wygodę i mobilność. Mają klasyczny krój BDU z nowoczesnymi modyfikacjami, nadającymi im uniwersalność – od codziennego użytku po aktywność outdoorową. Dzięki nylonowym taśmom na dole nogawek można je regulować, a wzmocnienia na kolanach i pośladkach zapewniają komfort i bezpieczeństwo.

Cena: 159,99 zł

Ponczo Badger Outdoor Rain

Wykonane jest z wytrzymałego poliestru, pokrytego warstwą poliuretanu dla większej wodoodporności. Posiada kaptur ze ściągaczem i splot RipStop, który zapewnia odporność na rozdarcia. Doskonale chroni przed deszczem i jest lekkie, idealne zarówno na krótsze jak i dłuższe wypadki w teren. W sytuacji awaryjnej można powiesić je na gałęziach, tworząc mały namiot, w czym pomogą cztery metalowe oczka i zatrzaski. Po złożeniu zajmuje niewiele miejsca i jest lżejsze niż standardowa kurtka przeciwdeszczowa. Model wyposażono w praktyczny pokrowiec. Przydatne nie tylko w przyrodzie, ale także w samochodowym schowku czy rowerowej sakwie.

Cena: 149,99 zł

Latarka czołowa Olight H05

Oferuje moc światła 45 lumenów, ma soczewkę antyodblaskową. Posiada dwa tryby światła białego i dwa czerwonego, regulowany kąt padania światła oraz elastyczną opaskę. Jest odporna na krople wody (klasa IPX2) i ma wbudowaną ochronę przed przegrzaniem diody. Przycisk na górze ułatwia przełączanie między trybami, a zaawansowana elektronika kontroluje natężenie światła, chroniąc baterie AAA. Dzięki stabilizacji prądu, latarka świeci równomiernie do wyczerpania baterii. Model H05 Lite jest idealny dla użytkowników w każdym wieku, dostępny w kolorach Blue i Pink. Gwarancja z 1 lata.

Cena: 159,99 zł

Rękawice Mechanix Wear Durahide Fast Fit Leather

Taktyczne rękawice FastFit zapewniają ochronę dłoni, nie tracąc nic na wygodzie. Ich główne zalety to doskonałe dopasowanie, elastyczność i trwałość konstrukcji. Wewnętrzna część wykonano z wytrzymałej skóry DuraHide, co daje wysoką odporność podczas pracy z ciężkimi narzędziami lub na budowie. Górna część zbudowana jest z oddychającego materiału TrekDry®, który ogranicza pocenie się dłoni. Rękawice posiadają poszerzony elastyczny mankiet ze ściągaczem, zapewniający dodatkową ochronę i pewne trzymanie na nadgarstku. Model wyposażono także w nylonowe pętle do zawieszania, ułatwiające przechowywanie.

Cena: 129,99 zł

Multitool niezbędnik Badger Outdoor Paw

Solidny i praktyczny niezbędnik turystyczny wykonany z wysokiej jakości stali nierdzewnej, z dodatkowym pokrowcem z poliestru. Doskonale nadaje się do zastosowań survivalowych, campingowych oraz jako część codziennego wyposażenia (EDC). Stal została poddana profesjonalnej obróbce termicznej, zapewniając optymalną twardość każdego elementu. Niezbędnik posiada częściowo ząbkowane ostrze o długości 72 mm z klasyczną blokadą Liner Lock. Możliwość rozłożenia na dwie części ułatwia korzystanie z widelca i noża. Narzędzia: widelec, łyżka, korkociąg, ostrze gładkie, ostrze ząbkowane, otwieracz do butelek/konserw.

Cena: 79,99 zł

Multitool Badger Outdoor Thorn

Poręczny i funkcjonalny multitool Badger Outdoor Thorn to zestaw 14 narzędzi oraz wytrzymały pokrowiec z poliestru. Idealny do codziennych czynności, napraw i aktywności outdoorowych. Wykonany z wysokiej jakości stali nierdzewnej, poddanej profesjonalnej obróbce termicznej dla optymalnej twardości każdego narzędzia. Narzędzia główne, takie jak nóż i piła, są blokowane blokadą Liner Lock. Narzędzia: szczypce precyzyjne, kombinerki, przecinak do drutu (z zagłębieniem), piła do drewna, śrubokręt krzyżakowy, kółko do smyczy, rozwiertak, otwieracz do butelek, płaski śrubokręt, pilnik, ściągacz do izolacji, otwieracz do puszek, nóż, klips.

Cena: 149,99 zł

Okulary ochronne Mechanix Tactical Type-N

Zapewniają maksymalne bezpieczeństwo i komfort. Ich bezramkowa konstrukcja wykonana z wytrzymałego poliwęglanu oraz zaokrąglone krawędzie soczewek dają szerokie pole widzenia i kompleksową ochronę oczu. Przyciemnione szkła Smoke przepuszczają jedynie 13% światła widzialnego, a filtr UV absorbuje 99,9% szkodliwego promieniowania UV, chroniąc siatkówkę oka. Technologia Anti-Fog zapewnia szybkie odprowadzanie pary wodnej, a powłoka Anti-Scratch chroni soczewki przed zarysowaniami, zapewniając długotrwałą przejrzystość. Elastyczne zauszniki i mostek nosowy z materiału TPR gwarantują stabilne i wygodne dopasowanie, charakteryzując się wysoką sprężystością, antypoślizgowością i odpornością na niskie temperatury.

Cena: 89,99 zł

1



2



3



4



5



6



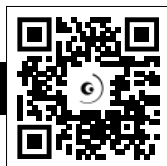
7



8



DOSTĘPNE NA:
MILITARIA.PL





 **Bushnell®**



Militaria.pl

BYDGOSZCZ DWORCOWA 43 • **GDYNIA** ŚWIĘTOJAŃSKA 84 • **KATOWICE** GALERIA KATOWICKA
KRAKÓW DIETLA 51 • **ŁÓDŹ** MANUFAKTURA • **POZNAŃ** POSNANIA
PRZEMYŚL JAGIELLOŃSKA 7 • **SZCZECIN** AL. PIASTÓW 53 • **WROCŁAW** OŁAWSKA 16
WROCŁAW ALEJA BIELANY • **WARSZAWA** BLUE CITY • **WARSZAWA** TAMKA 49